Bezpłatny dodatek do „Wolnomyśliciela Polskiego"

BŁYSKI WOLNOMYŚLICIELSKIE



ROK 2 WARSZAWA — 1934 — LUTY NR. 2

MIESIĘCZNIK

TREŚĆ:

Nie porzucaj nadziei! Z wiarą w lepsze jutro!...

Pewnego zimowego wieczoru zaszedł Wójcik do Gały, aby pogwarzyć o biedzie-niedoli. Gała trochę słabował, ale zato Wójcik się spotkał ze starym nauczycielem, Marjanem Głosińskim. Przywitali się serdecznie. Wójcik czytał „Potop" Sienkiewicza i, chcąc pokazać, że pamięta treść książki, powiedział:

— W jakich to czasach spotykamy się, mój jegomość?

Głosiński się zdziwił:

— A to dlaczego?

— I ja czytam gazety — mówi Wójcik — panie, ile to miljonów ludzi znosi niewolę. Niemcy pod Hitlerem, Włosi pod Mussolinim, Serbowie pod Aleksandrem, ktoby tam zliczył! Bezrobocie, nędza i głód po miastach, brak soli, nafty, butów po wsiach, o cukrze już każdy zapomniał.

—A w Rzymie siedzi papież i śle swoje błogosławieństwa, dodaj pan, a przed cudownemi obrazami jakoś mniej trafiają się cuda...

—Iii, o tem i mówić nie warto! rzekł Wójcik machając ręką, tu czegoś więcej trzeba...

— Prawdziwej oświaty, pochwycił Głosiński.

— Tak, tej przedewszystkiem, ale nie o tem chciałem z panem pogadać, a o tem, że na świecie ciężko i człowiek traci nadzieję. I ja czytałem trochę książek i pytam pana, kiedy się to skończy?

— Co?

Wójcik długo popatrzył w oczy Głosińskiemu i powiedział:

...— ten Hitler w Niemczech, albo Mussolini we Włoszech...— że tym ludziom biednym zawsze się nic nie udał Ile to było buntów chłopskich we Francji, w Anglji, w Niemczech i zawsze ich pokonano, tak może będzie i dzisiaj.

— Nie, panie Wójcik, a mimo wszystko jest lepiej.

— Dawniej chłop po weselu musiał swą sakramentem uświęconą żonę dać dziedzicowi na pierwszą noc...

— A dzisiaj niektóre kobiety za pieniądze z biedy same idą.

— To co innego, to nie z przymusu.

— Przymus bywa różny. I wtedy babie nie o baty chodziło, a tylko o życie, o chleb...

— Słusznie, to tembardziej ludzie dobrzy powinni walczyć, aby dzisiaj żadna kobieta z nędzy nie oddawała się mężczyźnie.

— Dawniej dziedzic mógł skazać chłopa za nieposłuszeństwo na śmierć, a jeszcze dawniej pan mógł zabić niewolnika bez podania przyczyny.

Wójcik znowu się skrzywił i machnął ręką:

— Bogaty i dzisiaj ma adwokatów, lekarzy, co powiedzą, że był nerwowy i tak dalej, że skażą go za zabójstwo na kilka miesięcy. Tak to bywa w Niemczech, w Ameryce, a biedak ma katorgę.

— Ale dawniej chłop musiał na dziedzica pracować bez wynagrodzenia, kilka dni w tygodniu.

— Panie drogi, niektórzy chłopi w... Niemczech... mówią, że wolą, aby się pańszczyzna wróciła. Batów to i dzisiaj niemiecki chłop wiele dostaje. Bije go za młodu nauczyciel w szkole, bije go policjant, a jak Hitler ogłosił pożyczkę, to gorliwie tłukli po pyskach własnoręcznie chłopów... Ale chłop za czasów pańszczyznv, gdy konał z głodu, to dziedzic, aby nie tracić go, jako siły roboczej, dał mu zapomogę, gdy dzisiaj może skonać z głodu i nikt się o niego, jak o psa, nie zatroszczy...

— Nawet ksiądz proboszcz?

— O, ten się często ucieszy, bo wdowa sprzeda ostatnią krowę, aby wyprawić pogrzeb i ksiądz zarobi kilkadziesiąt złotych. A biednemu stale wiatr w oczy wieje.

— Zgoda, panie Wójcik, ale powiedz pan, jakie to wszędzie mamy rządy?

— Pan sam wie...

— Ot, patrz pan, w takich Niemczech, policja szuka sacharyny, bo podobno ta jest trucizną, ale w czasie wojny każdemu pozwalano na picie herbaty z sacharyną. Czy to czasem nie chodzi o zyski cukrowników? I dlatego chłop, odziany w mundur policjanta, dokucza biedakowi w sklepie z towarem za dziesięć złotych. Panie Wójcik, o co tu chodzi?

— Przykładów dam tysiące. Ale pan pytał się, kiedy to się skończy?

—To od chłopów i robotników w Niemczech i we Włoszech i gdzieindziej zależy. Panie Wójcik, czytał pan pewno „Quo vadis"?

— Czytałem.

— Trochę tam wiele rzeczy, a zwłaszcza zakończenie głupio i fałszywie zostało przedstawione, ale jedna rzecz i w tej stronniczej książce została powiedziana.

— Jaka?

— Oto, że Rzym miał legjony, wojska, urzędników, senat, cezara, a upadł, bo nie stał na sprawiedliwości, ale na krzywdzie niewolników i wielu narodów. Pan ma sześćdziesiąt lat?

— Tak.

— Pamięta pan carską Rosję? Żandarmi, policja, kozacy, urjadnicy, czynownicy, gubernatorzy, popi, archireje, carat, i różna inna, jak moskale mówią, „swołocz", a przeciw nim—gromada rewolucjonistów, panien, studentów, robotników, chłopów. A dzisiaj?

— I śladu po tem niema.

— A czy w roku 1904 nie można było zadać takiego pytania, jak pan dzisiaj? Panie Wójcik, ale za tą gromadą, nazywano ją szaleńcami, stały miljonowe krzywdy ludu i przyszedł czas, że ten lud się obudził. Panie Wójcik, w roku 1789 wybuchła we Francji rewolucja, zrzucono tyranów, ogłoszono światu wielkie hasła: wolności, równości i braterstwa, a co najważniejsze, s k a s o w a n o p r z y w i l e j u r o d z e n i a, zapadło się do grobu szlachectwo i jego prawa do pierwszeństwa. Skasowano też cenzurę biskupów. Czy pan słyszał, aby dzisiaj ktokolwiek domagał się przywilejów dla tych, co się urodzili szlachcicami? Czy gazety konfiskują biskupi?

— Tak, o przywilejach dla szlachty już nie słychać, ale biskupi starają się, aby mieć wpływ na cenzorów.

— Niezawsze. Gdyby oni mieli, nie czytalibyśmy „Błysków" ani „Wolnomyśliciela". Po upadku wielkiej rewolucji nie dano ludziom ubierać się swobodnie, a tylko „po prikazu". Cała Europa jęczała pod kajdanami Prus, Austrji i Rosji oraz królów francuskich, papieża i kleru. Czy była nadzieja wyzwolenia? A jednak nie upłynęło lat piętnaście, gdy zaczerwienił się krwią bruk Paryża, a w lat trzydzieści trzy przez całą Europę przeszedł powiew wolności.

— Na krótko, panie, na krótko...

— Mówił pan, że czytał wiele książek...

— Tak.

— Ile lat panowała szlachta?

— Chyba z tysiąc.

— Tak. Zostaw pan trochę lat i dla burżuazji. Wie pan co ten wyraz znaczy?

— Wiem, bogacze, co ciągną zyski z cudzej pracy.

— To wysłuchaj pan uważnie...

Kiedy człowiek tylko polował, bo nie oswoił jeszcze zwierząt, ani nie znał rolnictwa, a napotkał innego myśliwca, właściwie gromada, horda — drugą gromadę w swoich lasach, to się wzajemnie zabijano. Kiedy człowiek poznał rolnictwo, to często padał ofarą najazdu dzikich pastuchów, czy myśliwców, ale po skończonej walce zwycięzcy już nie zabijali przeciwników, a tylko kazali na siebie pracować, wie pan dlaczego? Oto rozumieli, że większą osiągną korzyść z pozostawienia zwyciężonych przy życiu i wykorzystaniu ich pracy, niż z ich zjedzenia. To zmiana narzędzi pracy zmieniła upodobania człowieka. Ludzie szukali wszędzie kawałka chleba.

Dawniej był mądry naród kupców i żeglarzy, grecy się nazywali. Jeździli oni po morzach i zakładali miasta handlowe, osady. Rzymianie, znani z „Quo vadis“, rolnicy. Rozrzerzali się po ziemi, aby mieć grunta dla swoich ludzi, dla chłopów. A polska szlachta? Nie pilnowała morza i zachodu, bo lubiła rolnictwo, więc pchała się na wschód, gdzie o ziemię, źródło jej utrzymania, było łatwiej niż nad Odrą. Kiedy zaczęto uprawiać ziemię lepszemi narzędziami, których do rąk ciemnemu, pańszczyźnanemu chłopu nie opłacało się dać, bo i narzędzia zepsuje i korzyści nie przyniesie. Kiedy fabrykantom potrzeba było przy mało udoskonalonych maszynach ludzi do pracy, wtedy pańskie rządy kasowały pańszczyznę. Okłamywano lud, że to królowie tacy dobrzy dla chłopów i nakładano zaraz przytem podatki.

Wójcik pokiwał głową.

— A dzisiaj, kiedy maszyny wypierają wogóle pracę ludzką, dzisiaj nawet Mussolini musi łudzić, bo jest zależny od bogacza,że przystąpi do usuwania gospodarki prywatnej. Słyszy pan?

—To żelazne prawo zależności stosunku człowieka do człowieka od narzędzi pracy zmusza nawet tyranów do wypowiadania takich zdań, które głosi obóz pracy, obóz robotników i chłopów. I na ostatek, sąsiedzie, jeżeli w trzydzieści lat po stłumieniu Wielkiej Rewolucji, gdy warunki gospodarcze nie dojrzały dostatecznie do rządów ludowych, robotnicy chociaż na krótko zdobyli władzę i nabyli doświadczenia, to czy życie dzisiaj nie jest szybsze, czy możemy uważać, że stracone? Nie. Świat chłopów i robotników to jedyny dzisiaj świat, gdzie jest najwięcej jeszcze uczciwych ludzi, którym chodzi o zwycięstwo prawdy. A czy prawdę kto pokona?

— Nie — odrzekł Wójcik — czytałem, że prawda sto razy zabita, sto razy zmartwychwstanie.

— Dziękuję za pociechę — rzekł Wójcik i zaczęli rozmawiać o sprawach prywatnych. *W. Pokrzywa*

Wszy i łuki tryumfalne

(Zdarzenie prawdziwe)

Na tle nocnego pogodnego nieba widać było wyraźnie na dużym placu przed kościołem okazałą bramę tryumfalną, oświetloną smolnemi pochodniami, umajoną świerkowemi girlandami i ozdobioną chorągiewkami o barwach papieskich na znak, że każda parafja katolicka w Polsce (a jest ich niemało stanowi niesporne terytorjum watykańskie, do którego rządowi polskiemu, jako tolerowanemu tylko administratorowi tych terytorjów, nie wolno się wtrącać,

Bramę wzniesiono dnia poprzedniego z ordynackich sosen, dostarczonych wspaniałomyślnie, czyli zadarmo, komitetowi parafjalnemu. Wiadomo bowiem, że „dwór" zawsze szedł ręka w rękę z „plebanją", jeżeli tylko chodziło o trzymanie chłopa krótko. A cóż go może mocniej trzymać w ryzach jeśli nie propagowane przez ambony i konfesjonały zaświatowe dyrdymałki, które chłop i robotnik polski zwykł jeszcze brać na swoje nieszczęście za dobrą monetę, choć to są tylko fałszowane czeki bez pokrycia. Ale tak już jest na tym najlepszym ze światów, że fałszerze pokarmów idą do więzienia, a fałszerze prawd naukowych są sadzani na pierwszem miejscu.

Brama przypominała z kształtu olbrzymią szubienicę, na której zamiast łotra wisielca, wisiał napis: „WITAJ ARCYPASTERZU!", widoczny dokładnie przy swietle kopcących pochodni, które oświetlały go od dołu i z boków. Kryształki śniegu i krople ściekającej z pochodni smoły połyskiwały na gałązkach wieńców i girland, niby drogocenne kamienie na monstrancjach, kielichach i krzyżach. Ta kopcąca brama tryumfalna, wzniesiona dla wizytującego swą djecezję arcypastucha pastuchów w połączeniu z ciemną głuchą nocą, leżącą jak grobowy kamień nad okolicznemi wybierzmowanemi dzisiaj wsiami, symbolizowała stan umysłów w konkordatowej Polsce, zanieczyszczanych od stuleci smrodliwym kopciem bzdur kościelnych i tworzyła jedyny w swoim rodzaju obraz polskiej „odrodzonej" rzeczywistości, wywołującej rumieniec wstydu na twarzach kulturalniejszych obywateli.

Auta, karety, limuzyny, wozy chłopskie, chorągwie i cudaczne wschodnie liturgiczne stroje, które przed paroma godzinami zapełniły ten plac, znikły. Dostojnicy w fioletach i purpurze, udali się wraz ze swą świtą na plebanję, by dalszą, właściwą część uroczystości objazdu (czytaj: obżarstwa) pasterskiego odcelebrować przy suto zastawionych stołach. Szafarze łaski nadprzyrodzonej, wyczerpani jej szafowaniem, uzupełniali teraz braki swych magicznych zasobów licznemi daniami, roznoszonemi przez lokai, a przyrządzonemi przez sprowadzonego z miasta kucharza, aby mieli z czego czerpać

łaskę nazajutrz w sąsiedniej parafji. Łaska bowiem jest nieodzownym warunkiem zbawienia, na które każdy wierzący czeka z utęsknieniem i dlatego z niepokojem myśli o śmierci, po której ma ono nastąpić. W kapryśnym świecie kościelnych obiecanek niczego bowiem nie można być pewnym.

Na placu tedy było już pusto. Kopcące smolne pochodnie dopalały się jedna po drugiej i coraz inna część olbrzymiej tryumfalnej szubienicy z powitalnym napisem zapadała w cień, czyniąc nie do odróżnienia nawet biało-żółte papieskie chorągiewki. Tylko z plebanji dochodziły odgłosy wiwatów i szczekanie psów podwórzowych, którym księża gospodyni zapomniała tego dnia dać na wieczerzę resztek z obiadu. Ujadanie ich było jedynym protestem, jaki rozlegał się w tej uroczystej ciszy, przeciwko temu, co się działo na plebanji i dalej.

Ktoś, kto to wszystko obserwował, dostrzegł nagle wyłaniający się z mroku pokraczny cień, a raczej skulony kłąb łachmanów. Cień ów, podpierając się kosturem, podpełzł raczej niż podszedł do sosnowych dyli tryumfalnego łuku, ozdobionego papieskiemi barwami, popatrzył przez chwilę na ów łuk, na napis i na chorągiewki, pokiwał głową, wymamrotał jakieś przekleństwo i jął opukiwać kosturem wiązania łuku, tworzące po obu stronach jezdni coś w rodzaju wnęk, mających za sufit tylko „niebo i gwiazd krocie", a zamiast ścian—ziąb, wiejący od pól pokrytych śniegiem.

Z ruchów owego kłębu łachmanów można było wywnioskować, iż osądził, że miejsce to nadaje się wybornie do spędzenia w jednej z tych wnęk pięknej zimowej nocy, pod rozpostartemi ramionami gwiazdozbioru Orjona, grożącego srebrzystą maczugą zagubionej we wszechświecie ziemi, iż dotąd nie zasypała „przepaści, która ludzkość dzieli na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli", na sytych i głodnych, na bezdomnych i tarzających się w dostatkach.

Oparłszy kosztur o jeden z kloców, poruszający się niemrawo kłąb brudnych, cuchnących łachmanów, przystąpił z kolei do zrobienia wieczornej tualety. Jął tedy długo i starannie trzeć plecy o jeden ze słupów arcypasterskiej tryumfalnej bramy, ozdobionej papieskiemi barwami, aż szarpnięty przytem pnący się spiralnie w górę sznur girlandowy pękł u szczytu i spłynął w dół po słupie, jak kipiące mleko z garnka. Palce rąk, rozgarniając cuchnące szmaty, darły świerzbiące i żarte przez wszy ciało. Narzucona na głowę podarta płachta odchyliła się i w świetle pochodni ukazała się twarz znanej we wsi umysłowo chorej, która drapiąc się po piersiach, biodrach i ramionach, układała się tymczasem do snu na wilgotnej ziemi.

— He, he!... zaśmiał się mimowolny świadek tego widoku. Jakże mądrze, celowo i sprawiedliwie urządzony jest ten świat, stworzony przez dobrego boga! Jakże dobrze, że stwórca nasz i najlepszy ojciec ma na ziemi swoich przedstawicieli, dbających wciąż o to, aby żadne z dzieci bożych nie cierpiało na ziemi niedostatku i życiowej poniewierki, którzy odejmują so-

bie od ust, aby nakarmić głodne rzesze bezrobotnych i dzielą się swemi ciepłemi wygodnemi apartamentami z niemającemi dachu nad głową!... Jakże mądre są słowa ewangelji, które mówią: ptaki mają swoje gniazda, liszki swe jamy, tylko syn człowieczy niema, gdzieby głowę schronił. Boski porządek rzeczy, zawarty w tych słowach, jest najlepszą pociechą dla takich, jak Gdulówna. Bo dobry bóg, który karmi ptaki niebieskie i odziewa lilje polne i o nią się zatroskał...

A tymczasem leżąca na wilgotnej ziemi kupa zawszonych, śmierdzących łachmanów kuliła się od nocnego chłodu, mamrocząc naprzemian pacierze i przekleństwa, łączące się z naszczekiwaniem i skomleniem głodnych psów plebańskich. Przez bramę, pogrążoną już całkowicie w mroku nocy, przemknęło kilka pojazdów, wiozących strudzonych pulchnych dostojników, którym północ przerwała biesiadę, gdyż w myśl kanonicznej djetetyki (nauki o zdrowem odżywianiu się), każdy z nich musi być „naczczo“, gdy przystąpi rano do codziennego spożywania swego boga pod postacią opłatka i kilku łyków wina węgierskiego, zmieszanego z wodą.

Od bramy tryumfalnej dochodziły dalej pacierze i przekleństwa oraz szudranie się jedzonej przez wszy biednej ludzkiej istoty. Wreszcie ucichło wszystko, nawet psy plebańskie, nakarmione widocznie resztkami wspaniałej, duszpasterskiej biesiady. Tylko na plebanji długo jeszcze płonęły światła i wspaniały gwiazdozbiór Orjona nie przestawał dalej grozić ziemi swoją srebrzystą maczugą, że nie zasypała dotąd przepaści, która ludzkość dzieli na pokrzywdzonych i krzywdzicieli, na sytych i głodnych, na bezdomnych i tarzających się w dostatkach...

Wit

Z dziejów inkwizycji

Słyszałem ci ja, kumie, że wiesz skądciś o tej potwornej zbójeckiej instytucji — św. inkwizycji, która pochłonąć miała tyle ofiar w ludziach. Czy nie mógłbyś mi opowiedzieć czegoś o niej? — zapytał mnie Paweł Adamowicz z Choroszczy.

— I owszem, chętnie. Otóż przedewszystkiem wiedzieć ci trzeba, iż ten „święty“ — jak go nazywają — urząd powstał bardzo dawno. Wg. kleru istnieje od stworzenia świata. Tak przynajmniej twierdził dominikanin o. Ludwik de Paramo (żył w XVI wieku w Hiszpanji). Za pierwszego inkwizytora uważał on samego boga, a za pierwszy czyn inkwizytorski — wypędzenie Adama i Ewy z raju za popełnienie niesłychanej zbrodni, która polegała na zjedzeniu jabłka, ale nie byle jakiego: jabłka „wiadomości dobrego i złego“.

Wg. natomiast większości historyków świeckich, powstanie św. inkwizycji odnieść należy do XIII wieku. Od tego czasu datuje się systematyczne i bezlitosne prześladowanie

„odszczepieńców“ i nieprzyjaciół kościoła papieskiego. Nie znaczy to jednak, aby przedtem nie było wcale prześladowań. I owszem, były. Początek prześladowania biorą od chwili, gdy kościół poczuł się na siłach używania przemocy względem swych wrogów, a chwila ta zapada w przeszłość tak daleko, jak dzieje samego kościoła. Nie będę przytaczał tu licznych ustaw, wydanych przez pierwszych chrześcijańskich cesarzy, a skierowanych przeciwko „religijnie nielojalnym“ lub wyznającym religje t. zw. pogańskie. Nie będę też wyliczał, nielicznych wprawdzie, ale niemniej okrutnych prześladowań do chwili oficjalnego ustanowienia t. zw. „świętej“ inkwizycji. Zabrałoby to nam za dużo czasu. Wspomnę jednak, iż pierwsza egzekucja „heretyków“, w której wzięli udział duchowni, odbyła się już w 60 lat po uznaniu chrześcijaństwa za religię państwową, czyli w r. 385 w Trewirze. Pryscyljan i jego sześciu uczniów, podejrzani o szerzenie nauk sprzecznych z oficjalną nauką kościoła, naskutek poduszczeń dwu biskupów zostało skazanych na śmierć.

— Jak już wspomniałem, tak zw. „święta“ inkwizycja została ustanowiona w XIII wieku. Ustanowił ją papież Inocenty III i powierzył dominikanom. Na sztandarach widniał napis: „Bójcie się Boga i składajcie mu cześć, zbliża się bowiem godzina jego sądu“. I faktycznie, było się czego bać: tam, gdzie się zjawił inkwizytor, wielu ludzi musiało pożegnać się z życiem.

— Inkwizycja istniała we Włoszech, Francji, Niemczech, Anglji i innych krajach, nigdzie jednak nie przybrała tak potwornych rozmiarów, jak w Hiszpanji. Ten kraj, który ostatnio zrzucił z siebie hańbiące jarzmo ucisku klerykalno-monarchicznego — ucierpiał najwięcej. Inkwizycja przetrwała tu aż do końca XVIII wieku. Jak wielce ucierpiał ten kraj, świadczyć może fakt (jeden zresztą z b. licznych), iż jedynie za sprawą pierwszego inkwizytora hiszpańskiego Torquemady spalono żywcem 10.200 osób.

We Francji — jak już wspomniałem — inkwizycja również panoszyła się przez wiele stuleci. W r. 1572 podczas wesela ks. Henryka Nawarskiego, urządzono za sprawą regentki Katarzyny Medici, będącej powolnem narzędziem w ręku duchowieństwa — rzeź hugonotów. Uzbrojone tłumy wymordowały wtedy przeszło sto tysięcy innowierców w Paryżu i na prowincji. Wiadomość o rzezi papież Grzegorz VIII uroczyście obchodził w Rzymie i kazał nawet z tej racji wybić pamiątkowe medale. Po wszystkich kościołach rozlegało się radosne i dziękczynne Te Deum...

W Anglji prześladowano niemniej okrutnie. Heretyków, ociągających się w wypełnianiu praktyk religijnych — poddawano uciskowi. Aby ich łatwiej było rozpoznać, znaczono im czoła rozpalonem żelazem. Obnażonych pędzono po ulicach i smagano rózgami. Było surowo zakazane dawać jakiekolwiek wsparcie nieszczęsnym ofiarom. Pewien ksiądz angiel-

ski z radością opisuje, jak to jednej zimy pędzono nago heretyków po ulicach; mrozy były niezwykle silne, nikt ich jednak nie przyjął do domu, wobec czego zginęli z głodu i zimna pod otwartem niebem.

Nie będę się rozwodził nad prześladowaniem „heretyków“ w innych krajach. Zabrałoby to nam za dużo czasu (może kiedyindziej opowiem). Dodam tylko, iż działalność inkwizycji skończyła się dopiero w 1808 r., kiedy to Napoleon wydał rozkaz uwięzienia inkwizytorów i zamknięcia „świętego“ urzędu.

Na zakończenie wyprowadzę jeszcze ogólny bilans „owocnej“ pracy inkwizycji w Hiszpanji. Przedstawia się on jak następuje:

spalono żywcem . . .	31.912	osób
spalono po śmierci . .	17.659	„
ukarano w inny sposób .	291.450	„
razem .	341.021	osób

— To tylko w Hiszpanji. W innych krajach liczby ofiar narazie nie ustalono.

—Dziękuję wam, kumie, za spełnienie prośby. Dowidzenia!

H. Haliński

Krótki zarys fizyki

5. Prawo zachowania materji

Gdy spali się wieśniakowi dom i gdy ogląda zgliszcza, zrozpaczony powie :„nic mi nie zostało“, bo dla niego popiół i zwęglone części jego dobytku nie mają żadnej realnej wartości; „nic“ mu więc nie zostało. Dla niego materja, z której był jego dom zbudowany, została zniszczona, znikła.

Tak wygląda to zjawisko z punktu widzenia pożytkowego (utylitarnego), bo cóż za pożytek może mieć wieśniak z garści popiołu, pozostałego po zniszczonym domu?

To samo zjawisko rozpatrywane z punktu widzenia naukowego przedstawia się zgoła inaczej; materja nie może ulec zniszczeniu; gdybyśmy zdołali w trakcie pożaru zważyć dym, unoszący się w powietrze, pozostałości zwęglone i popiół, toby się okazało, że waga ogólna byłaby ta sama, a nawet większa, niż waga domu przed pożarem.

Dla wieśniaka materja została zniszczona, dla przyrodnika materja została przetworzona w inną postać; materja więc nie znikła, materja jest trwała.

Zasadę trwałości materji należy więc traktować w ten sposób, ze materja nie powstaje z niczego i nie ginie.

Ten pogląd na materję istnieje już bardzo dawno, bo już greccy filozofowie wypowiadali tę zasadę. Tę samą myśl

spotykamy w łacińskiej literaturze naukowej w formie następującego twierdzenia: ex nihilo nihil fitet in nihilum nil posse reverti (z niczego nic nie powstaje i żadna rzecz w nicość się zamienić nie może). Zresztą u nas też istnieje przysłowie oparte na zasadzie trwałości materji: „z próżnego sam Salomon nie naleje".

Zasada ta, aczkolwiek zupełnie słuszna, nie była oparta na doświadczeniu, lecz powstała jedynie na gruncie rozumowań oderwanych. Zwłaszcza wyjaśnienie procesu palenia się ciała nastręczało wiele trudności. Dla wyjaśnienia tego procesu zbudowano specjalną hypotezę, zwaną teorją flogistonu. Według tej teorji: każde ciało palne zawiera pewną substancję zwaną flogistonem, substancja ta przy spalaniu się ciała ulatnia się nieuchwytnie. Wychodząc z tego założenia wynikałoby, że produkt spalania winien ważyć mniej niż ciało przed spaleniem, gdyż uszedł z niego flogiston.

Tymczasem doświadczenia, wykonane przez znakomitego uczonego Lavoisier'a*) (czytaj Lawuazje) stwierdziły, że teorja ta jest całkiem błędna i rzecz jasna: obaliły teorję flogistonu.

Lavoisier postanowił zbadać proces spalania nie ze strony jakościowej, ale ze strony ilościowej. On pierwszy zastosował wagę do badań chemicznych. W bańce szklanej Lavoisier umieścił pewną ilość cyny sproszkowanej, otwór przez który cyna była wprowadzona został zalutowany, bańkę zważył a następnie ogrzewał ją przez czas dłuższy, a cyna uległa spaleniu. Po ostudzeniu bańki Lavoisier zważył ją powtórnie, żadnej zmiany w wadze nie było. To i inne doświadczenia utwierdziły Lavoisiera, że proces palenia polega na łączeniu się ciała palącego się z gazem, znajdującym się w powietrzu, zwanym tlenem. Bez tlenu ciała palić się nie mogą. Połączenie się ciała z tlenem nazywamy utlenianiem. Palenie jest to więc pewien rodzaj utleniania, a nie ulatniania się flogistonu.

Doświadczenia Lavoisiera i inne stwierdziły niezbicie, że: ilość materji we wszechświecie jest stała, materji nie można stworzyć, ani też zniszczyć, można ją tylko przetworzyć z pewnej postaci w drugą, każdorazowo jednak ze ścisłem zachowaniem jej ilości.

---

*) Lavoisier Antoni Wawrzyniec, chemik francuski, urodzony w roku 1743, zmarł w roku 1794 w Paryżu, w 25 roku życia członek Akademji Umiejętności; główne zasługi Lavoisier'a: zastosowanie wagi do badań chemicznych, obalenie hypotezy flogistonu, ogłoszenie prawa zachowania materji: „la nature ne fait rien de rien et la matiere ne se perd point" (przyroda z niczego się nie tworzy, materja nie może zginąć). 8 maja 1794 r. oskarżony przed trybunałem rewolucyjnym, skazany na śmierć i stracony. W r. 1900 ze składek międzynarodowych wzniesiono mu pomnik w Paryżu.

Zasada ta nosi nazwę prawa zachowania materji albo prawa zachowania masy. Prawo to jest punktem wyjścia naszego współczesnego poglądu na przemianę materji, zachodzącą w wszechświecie.

Niejednokrotnie w dalszym kursie będę się powoływał na to podstawowe prawo fizyki*). *B. Różański*

Pan i jego słudzy

„Jaki pan, taki kram“

Doświadczenie życiowe poucza, iż często wnioskujemy o pewnej osobistości, wnioskujemy najczęściej mylnie, sądząc otoczenie, a nawet służbę tejże osobistości.

Mądrość narodu poucza: „jaki pan, taki kram“ i odwrotnie — po „kramie“ można poznać jego pana. Jest to w wielu bardzo wypadkach wnioskowanie powierzchowne i fałszywe.

Zdarza się bowiem nieraz, iż najzacniejszego pana otaczają osobistości b. marne.

Gdy się z takim panem zetkniemy osobiście, zadziwiamy się nad mylnym naszym sądem, jaki urobiliśmy sobie wnioskując z jego służebnego otoczenia.

Jeżeli weźmiemy teraz „katechizmowego boga“, tę istotę wszechmocną, wszechwiedzącą, doskonałą — istotę całkowicie pozaziemską — model doskonałości, dobroci, miłosierdzia, słowem coś nieskończenie wyższego ponad przyziemne nasze bytowanie. Jeżeli równolegle poczniemy rozpatrywać te osobistości i ich postępki, które przypisują sobie stanowiska służebne, pośredników między bogiem a ludźmi. Jeżeli poczniemy wnikać w ich czyny, pragnienia, dążenia, takie zawsze bardzo ludzkie, poziome, przyziemne, to jakież fałszywe moglibyśmy powziąć mniemanie o ich mocodawcy, słowem o istocie najwyższej!

Dobra doczesne, stanowiska wydatne, wpływowe, zaszczyty, honory, żądze wywyższenia się i znaczenia, najnikczemniejsze intrygi i pełzanie, jakież to wszystko niezmiernie niskie wobec najwyższej doskonałości?

Jeżeli wnikniemy w intrygi i zakulisowe machinacje w długotrwałe podziemne roboty, w podłostki i podłości, mające na celu pozyskanie, zdobycie tego lub innego doczesnego zaszczytu i stanowiska. Jeżeli wtedy zestawimy tę służbę z takim ideałem, jakim winien być katechizmowy „bóg“, to zastanowi nas i niemile uderzy ten tak jaskrawy kontrast. Jak to? To „on“ ma być taki, a ci, którzy podają się za jego służbę przedstawiają tak ujemny obraz?

Jeżeli znamy chociażby powierzchownie dzieje — to smutnie nas zastanowi, ile ta „służba“ spustoszeń dokonała, ile gwałtów sprawiła, ile cierpień wywołała, zawsze się zasła-

---

*) Sprostowanie: na str. 4 „Błysków“ nr. 1 w wierszu 10 od dołu zamiast: „„nadaną metrem“ winno być: „nazwaną metrem“.

niając, iż działa zgodnie z wolą, zgodą i ku zadowoleniu swego „pana“.

„Bóg uśmiecha się tylko na tronie z szafirów“, jak barwnie mówi Słowacki, a jego służba pławi się we krwi, lubuje dymem stosów, podżega wojny religijne, mordy bratobójcze, krzywdy i rozterki niezapomniane.

Mimowoli robi się żal, iż ten katechizmowy ideał tak niesychanie obniżono, tak go prawie że zniesławiono, a uczyniła to właśnie ta jego służba. Ci wierni, oddani, pełni poświęcenia słudzy nie zdołali się podnieść i oderwać od ziemi. Nadto stąpają przyziemnie — obniżyli swój lot, nie sięgają obłoków. Nie znają miłosierdzia. Prowadzą „walkę o byt“ z całą bezwzględnością. Teoretycznie tylko opierają się na wysokich a wzniosłych wskazaniach swojego mocodawcy zaświatowego — praktycznie są tylko obrońcami własnych ziemskich interesów.

Im niższy rozwój danego narodu, im pierwotniejsze jego religijne zapatrywania, tem więcej prawdopodobne jest, iż kapłani (słudzy pana) nie odbiegają daleko od poziomu duchowego otoczenia. Wiara ich będzie może naiwna, ale przeważnie szczera. Służą też swojemu panu prostaczo, ale bez oszukaństwa. Z chwilą, gdy przejdziemy do ludów o wyższej kulturze, typ kapłana (sługi) się zmienia. Pierwotna naiwność wobec otaczającej wyższej kultury staje się niewygodną a niekiedy śmieszna. Zjawia się typ kapłana (sługi pana) z okresu upadku np. Rzymu. Typ o dwu obliczach.

Jednem pełnem powagi dla wiernych, drugiem zerkającem figlarnie ku wtajemniczonemu koledze, drwiącem z prostaczej wiary naiwnych. Ten typ schyłkowy sługi — bogów, niekiedy podpiera swój upadający autorytet, uchwałami swej kasty (kapłańskiej), zmierzającemi do umocnienia autorytetu sługi nawet ponad autorytetem pana. Zapadają wtedy uchwały „o nieomylności w rzeczach wiary“ i t. p. Bez przesady można jednak stwierdzić, iż w okresach oświeconych i kulturalnych nic tak panu się szkodzi, jak jego właśni słudzy. Ludzkość, rozwijając się, wyrabia sobie stopniowo coraz to mniej antropomorficzne (po ludzku pojęte) wyobrażenia o panu (bóg katechizmowy).

Tymczasem słudzy tego pana wciąż stają na niezmiennych stanowiskach dawno już minionych epok i poglądów. Stąd powstają całe szeregi kolizyj i kontrastów nie do wyrównania.

Trudno! Grek storożytny wierzył, iż pioruny ciska gniewny Zeus. My ludzie 20 stulecia zmuszamy piorun do wożenia nas po mieście w wygodnych wagonach tramwaju.

Grom gniewnego Zeusa umiemy zneutralizować i obezwładnić przez „gromnik“. Zaprzęgamy te gromy do pracy (elektryfikacja kraju).

Oświata, postęp, wypierają naiwne podania i baśnie. Podniesienie poziomu oświaty już jest takie, iż trudno, aby obec-

nie znalazł się człowiek w Europie wierzący w gromy Zeusa. Już nawet na Polesiu poziom uświadomienia się podnosi. To też słudzy tylko ośmieszają swego pana, jeżeli takie baśnie za prawdę podają.

Sprawiają naiwnie szkodę swemu panu, gdyż jaki taki po ich ciemnocie i zacofaniu może wnioskować: „taki kram, jaki pan".

Więc ostrożnie z miotaniem się i plwaniem na „zżvdziałych" mędrków doczesnych, na wiedzowców i uczonych a z wywyższaniem głuptasków, obskurantów, matołków i maluczkich a ubogich duchem.

Jeśli wasz „pan" lubuje się tylko w tak upośledzonych istotach, jak twierdzicie, to zapewne dzieje mu się wielka krzywda i poniżenie. *Marjan Wawrzeniecki*

Jak przestałem być religjantem*)

(Drogi dojścia do światopoglądu wolnomyślicielskiego)

Głos, oparty na danych ankiety o utracie wiary religijnej.

Jestem synem robotnika rolnego. Od najwcześniejszych lat mego życia poznałem nędzę proletarjatu. Obserwowałem gnębienie chłopów i robotników przez rząd carski i obszarników.

Chodząc często z matką na odpusty i nabożeństwa, poznawałem proletarjuszy — religjantów. Widziałem i naocznie się przekonałem, że religijność nie pozwalała ludziom najbardziej wyzyskiwanym rozpocząć walki o swe wyzwolenie ekonomiczne.

Poznawałem ścisłą zależność między religijnością a niewolniczą służalczością.

Poznawałem charaktery ludzi religijnych; widziałem, iż inaczej czynią niż głoszą. Najbardziej skąpi, bezwzględni, okrutni—byli to właśnie ludzie religijni.

Rozpusta księży, ich obłuda, wykpiwanie wierzeń innych wyznań, współpraca ich z możnymi świata tego w celu gnębienia proletarjatu, były momentem, który mnie odepchnął od religji.

Samouctwo, przestudjowanie wielu dzieł naukowych oraz stałe rozmyślania na temat bezzasadności i szkodliwości wierzeń religijnych, uczyniły ze mnie człowieka niewierzącego.

Udział w ruchu socjalistycznym od wczesnej młodości, stwierdzenie ścisłego przymierza i współdziałania między wyzyskiwaczami a religjantami, utwierdziły mnie w przekonaniu co do konieczności ścisłej współpracy między socjalizmem a wolnomyślicielstwem. *Stefan Sendłak*

*) W miarę miejsca podawać będziemy nadesłane odpowiedzi na skierowane przez nas zapytania w sprawie utraty wiary religijnej. Wszystkie odpowiedzi są wielce interesujące, szczere, bez obawy nieotrzymaod nas „rozgrzeszenia".

Na żądanie czytelnika — prześlemy ankietę celem nadesłania nam odpowiedzi.

Matka boska nie chce pokrzepiać saletynów

W jednem z pism polsko-amerykańskich znajdujemy następującą korespondencję, którą przedrukowujemy dlatego, że sposób wyciągania ostatniego grosza z nędzy polskiej da się zastosować do kleru rzymskiego we wszystkich krajach

„Jeden z naszych czytelników nadesłał nam list, który otrzymał od ks. saletynów z Ware, Mass., z racji bożego narodzenia".

List ten jest tak oryginalny, że przytaczamy go poniżej w całości. Brzmi on:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Zacni i drodzy przyjaciele!

Każdego roku z okazji świąt bożego narodzenia robimy wam jakąś miłą niespodziankę. W tym roku wysyłamy prezent, który was jeszcze bardziej ucieszy! Jest to przepiękny kalendarz z wizerunkiem cudownej panienki saletyńskiej. Duży ten medal z kalendarzem będzie ozdobą domu waszego przez cały rok 1934, a myśl wasza codzienna o matuchnie najdroższej pokrzepiać was będzie w doli i niedoli aż do końca życia.

W tejże nadziei łamiąc się z wami opłatkiem, prosimy i prosić będziemy dziecię boże, by was obdarzyło czerstwem zdrowiem i stałą dobrą pracą. My zaś, ojcowie misjonarze, błagamy was ze łzami: O! drodzy i zacni przyjaciele, nie zapominajcie o nas!.. Ciężkie czasy i bezrobocie sprawiły, że szeregi naszych czytelników strasznie spustoszały... A tu do nas wyciągają ręce błagalne ojcowie misjonarze z dalekiej Afryki i ojcowie misjonarze z ukochanej naszej Polski i przyszli misjonarze wychowankowie w seminarjach naszych... O doprawdy, jeżeli się nie zlitujecie, i nas nie wspomożecie, to jakże ten kryzys przetrzymamy?... Dlatego, na miłość bożą, ratujcie nas! Bo doprawdy, nie moglibyśmy tego przeżyć, gdybyście o nas teraz zapomnieli...

Nasze codzienne msze św., i modlitwy, to wasza nagroda i błogosławieństwo z nieba, którego wam pan bóg nie poskąpi, bo „Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią".

Szczerze wam wdzięczni i oddani
ojcowie misjonarze m. b. saletyńskiej.

Drodzy i zacni przyjacie, nie zarzucajcie tego listu. Wyście się napewno do głębi serca przejęli naszą prośbą! O! niech wam pan bóg tysiąckroć wynagrodzi!".

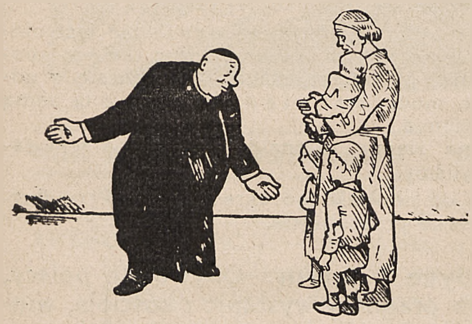
Z każdego prawie zdania wygląda klerykalna obłuda.

Innym zakonnicy każą wierzyć w otrzymywanie pokrzepienia od matki boskiej, ale sami, widocznie u mat-

ki boskiej łask nie mają, gdyż wolą dolarowe pokrzepienie od naiwnych wyznawców kościoła rzymsko-katolickiego.

Na szczęście, ludzie poczynają coraz bardziej uświadamiać się, gdyż, jak donosi nam czytelnik, który ów oryginalny list saletynów do redakcji nadesłał, znaczna część tych, którzy ów list saletynów otrzymali — umieściła go w śmietniku.

Z drugiej strony czytelnicy nasi stale ostrzegają naiwnych przed tego rodzaju księżemi naciąganiami, wykonywając przez to dobrą robotę oświatową".



„Pomoc" kościelna

Tak, moja kobieto, wiem, że nie macie co do jedzenia, lecz kościół nie może Wam pomóc. Uczęszczajcie jednak częściej do kościoła a będzie wam to w niebiosach policzone...

Odpowiedzi redakcji

Ob. A. Z. i innym. Na pytanie, czy samolot, który, wzniósłszy się w górę, znajduje się przez pewien okres czasu nieruchomo w powietrzu, spadnie na to samo miejsce skąd wyruszył, przytaczamy wyjątek z pewnego popularnego podręcznika z fizyki, bowiem uważamy, że wyjaśnia on w sposób możliwie dostępny poruszone zagadnienie. Nie ulega wątpliwości, że dla **pełnego** zrozumienia podobnych zjawisk jest niezbędna znajomość ogólnych zasad fizyki.

„Dowcipny pisarz francuski wieku XVII Cyrano de Bergerac Sawinjusz w jednym ze swoich utworów opowiada o dziwnym wypadku jaki przeżył.

Pewnego razu, będąc zajętym doświadczeniami fizycznemi, nie wiadomo z jakiej przyczyny został uniesiony z całym budynkiem w górę, w powietrze,

Gdy po upływie kilku godzin udało mu sie znowu opuścić na ziemię, okazało się, że już nie był w Europie, lecz w Ameryce północnej, w Kanadzie.

Zjawisko to objaśnia on w ten sposób, że przez ten okres czasu gdy znajdował się w powietrzu, ziemia dalej obracała się ku wschodowi, co było powodem, że gdy znowu znalazł się na ziemi, już nie było Francji, lecz Kanada.

Jakiż prosty i tani sposób podróżowania! Wystarczy wznieść się na pewną wysokość, przeczekać pewien czas i wtedy opuścić się na zgóry udatrzony cel podróży, który tam „podejdzie".

Niestety, ten tani a dziwny sposób podróżowania jest tylko fantazją. Unosząc się w powietrzu nie odrywamy się od kuli ziemskiej, gdyż jesteśmy związani z atmosferą, która również łącznie z ziemią obraca się naokoło osi. Powietrze, a zwłaszcza jego dolne warstwy obracają się łącznie z ziemią, pociągając wszystko to, co się w powietrzu znajduje a więc chmury, samoloty, ptaki, owady i t. p.

Gdyby powietrze nie brało udziału w obracaniu się kuli ziemskiej, to stojąc na ziemi wyczuwalibyśmy tak silny wiatr, w porównaniu z którym huragan wydawałby się nam zefirkiem.

Jest to zresztą zupełnie zrozumiałe. Czy to nie wszystko jedno, czy znajdujemy się w stanie nieruchomym, a powietrze się porusza, czy też przeciwnie, powietrze jest nieruchome, a my się poruszamy; w obydwu wypadkach będziemy odczuwali ten sam wiatr.

Automobilista, pędzący z szybkością 100 km/sek. odczuwa bardzo silny wiatr nawet podczas najpiękniejszej i spokojnej pogody.

Jest i druga przyczyna: gdybyśmy założyli, że ziemia nie jest otoczona powietrzem, to i wtedy niemoglibyśmy skorzystać z taniego sposobu podróżowania, o którym mówi pisarz francuski. Unosząc się w górę, poruszalibyśmy się dalej na mocy bezwładności*) z tą samą szybkością, z jaką porusza się ziemia.

Gdy więc opuścimy się na ziemię, to znajdziemy się na tem samem miejscu, z którego wyruszyliśmy.

Powyższe odnosi się tylko do niewielkiego okresu czasu. Przy dłuższych okresach czasu zajdzie pewne przesunięcie.

Ob. Andrzejowi Gudyce i innym. Obywatele polscy, mieszkający zagranicą, a pragnący wystąpić z kościoła, winni przy podaniu (oraz załączeniu dowodu osobistego lub metryki urodzenia) zwrócić się do najbliższego konsulatu polskiego z prośbą o przeprowadzenie odnośnych zmian w księgach metrykalnych (t. j. w parafji, w której sporządzono metrykę urodzenia). Gdyby konsulat wzdragał się przeprowadzić tę formalność z powodu rzekomej niekompetencji, należy zażądać od konsulatu przesłania podania do ministerstwa spraw zagranicznych w Warszawie do załatwienia lub odnośnego wyjaśnienia. — O czynieniu trudności przez konsulaty należy nas powiadomić.

---

*) Bezwładność jest to dążność ciała do zachowania swego poprzedniego stanu.

PRENUMERATA „BŁYSKÓW" (bez „Wolnomyśliciela Polskiego")

Za 1 egz.	rocznie	zł. 1.20	Za 10 egz.	rocznie	zł. 9.00
„ 5 „	„	„ 5.00	„ 10 „	półrocznie	„ 4.50
„ 5 „	półrocznie	2.50	„ 10 „	kwartalnie	„ 2.25

10 egz. zagranicą zł. 1.20. mies.

Adres **Redakcji i Administracji**: Warszawa, Królewska 16, telef. 218-14.
Konto czekowe w P. K. O. „Wolnomyśliciela Polskiego" Nr. 14.200.

Redaktorka **Zofja Żurkówna**— Wyd.: **Spółka „Wolność" z ogr. odp.**

Druk Leona Wolnickiego. Warszawa, Długa 46.